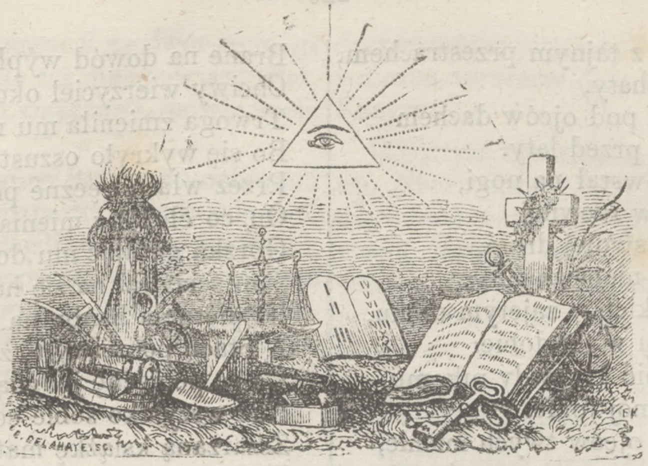
№ 29.

WARSZAWA

d. 9 (21) lipca

1861.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Kto długo żyje w złości, niepokoju i cierpkości, ma on już w swej duszy przedsmak powietrza, którem oddychają w piekle. (Śty Filip Neryusz.)

Święta pamiątka.

—

Noc była cudna, tarcza księżyca
Czysta jak dusza bez winy,
Jasnym promieniem świeciła w lica
Blade jakiegoś chłopczyny,
Co głowę smętnie wsparłszy rękami,
Niby chcąc boleść odegnać,
Tęsknemi chatę mierzył oczami,
Jakby ją wiecznie chciał żegnać;
I szeptał cicho: Boże mój drogi!
Jak nie mam z duszy się smucić,
Jutro opuszczę chaty tej progi,
By do niej więcej nie wrócić.
Okrutna boleść serce me ściska,
Dręcząc mię prawie nad siły,
W tej chacie stała moja kołyska,
W tej wsi rodziców mogiły.
Ludzie mówili: oj Stach bogaty,
Bóg łask na niego zlał rosę,
Ach! otóż rzucam ściany tej chaty,
Niestety! cóż z niej wyniosę?
Konie i wozy, pola i zbiory,
Owieczki krowy i pługi,
Schludne domostwo, piękne obory,
Zajmują za ojców długi.
I dziś w sukmanie zdartej na grzbiecie,
Z głową stroskaną i chorą,
Sam pozostałem na Bożym świecie,
Jak kołek gdy płot rozbiorą.
A gdy się rzucam w życie tułacze,
Gdy los z tych stron mię wypycha,
Nikt nad mą dolą smutną nie płacze,
Nikt nad sierotą nie wzdycha...
I tu z westchnieniem gorzkiem, głębokiem,
Patrząc na księżyc na niebie,
Znów się łez rzewnych zalał potokiem,
I z żalem spojrzał przed siebie.
I gdzie cmentarza pochyłe wrota,
Podążył kroki drżącemi,
I na mogile biedny sierota
Legł, łkając, licem na ziemi.
Już gasły gwiazdki jedna za drugą,
Rumiane wschodziły zorze,
Kiedy on jeszcze długo, tak długo
Modlił się w szczerej pokorze.

A potem wstawszy z tajnym przestrachem,
Powrócił cicho do chaty,
By choć chwil parę pod ojców dachem
Spędzić jak kiedyś, przed laty.
Z ranną godziną powstał na nogi,
I po modlitwie znów rzewnej
Jął się gotować do swojej drogi,
Do drogi przykrej, niepewnej.
Gdy żegnał wszystkich w zajętym domu,
Wierzyciel rzekł mu w tej dobie:
— Nie chcę ja czynić krzywdy nikomu,
Tem więcej Stasiu mój tobie.
Biorę ci wprawdzie ojców twych mienie,
Ale się dowiesz niebawem,
Że czystem zawsze jest me sumienie,
Bom nie minął się z prawem.
Wprawdzie jam nie tu spędził wiek młody,
Jednak mi każdy uwierzy,
Po zmarłym ojcu widząc dowody,
Że mi się dom ten należy.
Lecz wybierz sobie, co zechcesz z chaty,
Zaczem wyruszysz w twą drogę,
Dam ci najchętniej, choć nie bogaty
Wiele ci przyrzec nie mogę.
Tu Staś dokoła oczyma rzucił,
Żałośnie potrząsnął głową,
A potem w górę spojrzenie zwrócił
Na starą szafę dębową.
Bo tam leżała po drogiej matce,
Pamiątka najwięcej miła,
Książka modlitew w czarnej okładce,
Z której go czytać uczyła.
— Panie, rzekł w końcu mocno wzruszony,
O jednę łaskę cię proszę,
Daj mi tę książkę wziąć w obce strony,
Bo ją nad wszystko przenoszę.
Wierzyciel odrzekł: weź, kiedy żądasz,
Nie żałuj wcale swej dłoni,
Bo gdy tak na nią chciwie spoglądasz,
Zdejm ją, wszak nikt ci nie broni.
Chłopiec posłuszny śpieszył z podzięką,
Twarz mu kraśniała i bladła,
Lecz gdy już książki dosięgnął ręką,
Ta mu za szafę upadła;
A gdy się po nią schylał stroskany,
Sięgając dłońmi drżącemi,
Zwitek papierów sznurkiem związany
Tuż przy niej znalazł na ziemi.
Spojrzał nań Stacho; stanął jak wryty
Przebiegłszy podpis i daty,
Poznał wyraźnie ojcowskie kwity,
Brane na dowód wypłaty.
Chciwy wierzyciel oko miał wprawne,
Trwoga zmieniła mu rysy,
Bo się wykryło oszustwo jawne,
Przez własnoręczne podpisy.
On, co chciał z mienia wyzuć sierotę,
Gorzką gotując mu dolę,
Sam ściągnął na się hańby sromotę,
I z piętnem hańby na czole.
A Stach poczciwy to zacne dziecię,
Co za pociechę jedyną,
Nad wszystko sobie cenił na świecie
Zszarzaną książkę matczyną;
Kiedy odzyskał ojcowską strzechę,
Nigdy się w życiu nie spodlił,
Lecz w każdym smutku świętą pociechę
W pokorze ducha wymodlił.
A choćby stracił fortuny szczątki,
Na nowo rzucił próg domu,
Nigdy lat dawnych świętej pamiątki
Nie odda w świecie nikomu!

ZAPUSTY.

(OBRAZEK WIELKOPOLSKI.)

II.

—

Minęły dwa lata od tego nieszczęśliwego wypadku w Brudzewie. Wioska przy pomocy dziedzica, składki ogniowej i pomocy dobrych ludzi odbudowała się nanowo. W miejsce dawnych słomą pokrytych budynków, stanęły porządne murowane domki, tak, że dziś Brudzewo wygląda jak jakie miasteczko.

Nadszedł znowu ostatni dzień zapust. Mieszkańcy Brudzewa zamiast do karczmy *Swobody*, zebrali się najprzód rano w kościele na nabożeństwo, zkąd po mszy i odśpiewaniu *Święty Boże*, udali się zaproszeni do młodego we wsi sołtysa Kaspra Zagrodnika.

Trzeba wam bowiem wiedzieć, że w czasie okropnego pożaru, przez który cała wioska spłonęła do szczętu, tak że kamień na kamieniu nie został, Kasper Zagrodnik cudów waleczności i odwagi dokazywał. Biegał on od obory do obory, od stajni do stajni i odrzynał ryczące od strachu i bólu bydlęta, wypędzając na podwórze; wpadał pod walące się w pło-

mieniach strzechy i wyrzucał na dwór co mógł złapać pod rękę. Wiele też rzeczy wyratował, choć sam poparzony i zmęczony ledwie życia nie utracił.

A kiedy już mieszkańcy Brudzewa ochłonęli z pierwszej trwogi i rozpaczy, kiedy się rozpatrzyli w tem, co utracili, a co im pozostało; nie mogli się dosyć nadziękować Kasprowi za jego odwagę, który po tym pożarze zgodziwszy się za parobka do ławnika i pracując w polu i przy budowlach, zwykł był chwalącym go lub dziękującym odpowiadać:

— Dziękujcie raczej Bogu, nie mnie, bo ja wypełniłem tylko obowiązek chrześciański, a Bóg mnie strzegł od szwanku.

Najprędzej ze wszystkich gospodarzy odbudował się ławnik, bo gdzie Kasper swoim rozumem zarządził, tam wszystko szło i składnie i prędko. Uprawa roli mimo zwózki drzewa budulcowego z lasu, na niczem nie cierpiała. Kasper rano był w boru, po południu przy pługu; zawsze wesoły i ochoczy przyśpiewywał sobie w pracy. A skoro zobaczył ukochaną Kasię, jak nieraz w dzbanuszku niosła mu śniadanie, albo też w progu wyczekiwała powrotu jego, o! to serce tak silnie mu biło, rumieniec szczęścia i radości występował na twarz słońcem ogorzałą, że nie mógł dosyć się wywdzięczyć swoim gospodarzom, iż mu pozwolili pracować... dla Kasi.

Ławnik widząc wzajemność swojej córki dla tego, którego dawno umyślił jej za męża, nie posiadał się także z radości. Trudną wprawdzie miał rozprawę z swoją żoną, która jedynie za Wojtkiem trzymała stronę; ale że Wojtek źle sobie postąpił, bo widząc, jaka go po zaszłym we wsi pożarze czekała praca, zwłaszcza że i ojcowskie talary spłonęły z dymem, opuścił jednego dnia potajemnie dom rodzicielski i wyniósł się gdzieś do Poznania, myśląc, że mu tam same gołąbki przylecą do gąbki.

Napłakała się z początku zawiedziona Kasia, bo obałamucona jego figielkami pokochała go mimowoli i tak jakoś tęskno jej było bez niego, że sobie rady dać nie mogła. Ale kiedy z czasem przekonała się o szczerej miłości Kaspra, o jego pracowitości, trzeźwości i przywiązaniu jej ojca ku niemu, tak znowu nieznacznie przylgnęła do Kaspra, tak umiała uprzedzonej matce przełożyć i nadskakiwać, że i ławniczka nareszcie dała się namówić na stronę Kaspra.

U sołtysa tymczasem zaszły boleśne zmiany. Niewdzięczny syn opuściwszy rodziców, nie dawał wcale znać o sobie. Szeptano tylko rożnie między ludźmi, że Wojtek Pstrąg dostawszy się do Poznania, przebrał się zaraz po miejsku i tam różne wyprawiając szprynce, tłucze się po knajpach, gra w karty, oszukuje i ma się żenić z jakąś mieszczanką, udając się za właściciela jakiegoś folwarku.

Stary sołtys zmartwiony tym wypadkiem, napracowawszy się przytem co niemiara, zachorował przed ukończeniem jeszcze budowli po krótkiej słabości Bogu ducha oddał, przeklinając niewdzięcznego syna, którego wychował na swoje utrapienie. Pochowano go jako sołtysa na pierwszem miejscu na cmentarzu; Kasper Zagrodnik powiedział pod Bożą-męką przecudną przemowę, tak, że wszystkich do łez poruszył, bo Kasper był oczytany i piśmiennny, umiał i zaśpiewać i mądre słowo powiedzieć. To też gdy z powrotem gmina się zeszła do sołtyski na konsolacyą, i zaczęto o tem i owem radzić, tak i stanęło na tem, żeby Kasper został sołtysem. Zaczął się nieborak z początku wymawiać, że on nie żaden personat, ino biedny parobek, że jego gospodarz, u którego obecnie służy, ma prawo jako ławnik do sołectwa i w tem nie może mu przeszkadzać, ale owszem obowiązany jest dać mu swą *kryskę*. (*)

Kiedy to ławnik usłyszał, rzucił się na szyję Kaspra i rozczulony zaczął go całować i wołać:

— To mój zięć, kochany mój zięć, wy przytomni, biorę was na świadki, a ty Kasiu masz chłopa, jakiego w świecie nie znajdzie.

To mówiąc, połączył ręce dwojga kochanków i odbyły się u sołtyski zrękowiny, która tuląc ją do serca, wyrzekała zapłakana:

— O moja Kasiu! moja Kasiu, bądźże szczęśliwą, bo z tym moim niegodzijaszem zażyłabyś biedy. Żeby go tam nie wiem co spotkało, tyle hańby i sromoty nam narobić!

(*) W Wielkopolsce jest zwyczaj obierania sołtysa przez głosowanie, jak na wyborach deputowanych do sejmu.



W trzy tygodnie potem, odbył się ślub Kaspra z Kasią. Wesele trwało według dawnego zwyczaju przez cały tydzień; a ławnik wydając jedyną córkę za poczciwego chłopaka, nie wszczędził jadła i napoju. Co zaś najważniejsza, że wszyscy komornicy ze wsi Brudzewa byli na tem weselu i za panbrat pospołu z gospodarzami wyprzedzali się w ochocie.

Nareszcie jakem wyżej powiedział, upłynęły dwa lata. Młodzi małżonkowie szczęśliwie żyli z sobą, Bóg im błogosławił. Chowali już sobie jedyną szczęścia małżeńskiego pociechę, piękną córeczkę. Stary ławnik zdał zięciowi gospodarstwo, który prócz tego obrany został przez gminę sołtysem.

Karczma Swoboda stojąc przez długi czas pustkami, bo nikt do niej od ostatniego wypadku nie zachodził, musiała być rozebraną. Gospodarze Brudzewscy schodzili się w święta i wieczory do młodego sołtysa na pogadankę, a ten czytywał im różne pisma i gazety, opowiadał, co słyszał w mieście, jak chodził z podatkiem, nauczał błędnych, przekonywał wątpiących.

W ostatni dzień zapust od samego już rana w chałupie sołtysa panował wielki rozgwardyasz. Młoda sołtyska upiekła pączków, placków i parę gąsek, sołtys sprowadził z miasta półbeczek piwa i bawili się aż miło. Ku wieczorowi przyniósł *listowy* (brieftraeger) gazety i wezwanie od komisarza.

Z wielką ciekawością obstąpiono stół, a Kasper rozwinąwszy list rządowy, zaczął go na głos czytać. Zdumieli się wszyscy, bo w nim stała wiadomość, że niejaki Wojciech Pstrąg, rodem z gminy Brudzewa, obwiniony o kradzież, ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości. To samo stało w dzienniku, żeby na niego baczne zwrócić oko i w razie przytrzymania, dostawić go władzy.

Kiedy to usłyszała dawna sołtyska, zemdlała i padła nieżywa. Dopiero to lament i krzyk po izbie. Kobiety leją wodą, trą skronie, mężczyzni wynoszą na świeże powietrze; ale nic nie pomaga, sołtyska padła trupem. Posyłają, co konie wybiedz mogą po doktora; doktór przybywa, rewiduje, wzdryga ramionami i powiada, że jej serce pękło.

Wśród tego zamieszania stanął jakiś nieznajomy człowiek w progu, w kusą niemiecką przebrany kapotę i z rozpaczą na twarzy wyrytą patrzał na to, co się działo w izbie. Nikt go nie zauważył prócz Kasi, która poznawszy w nim Wojtka, krzyknęła przeraźliwie i zasłoniła sobie twarz ręką. Wojtek tymczasem wymknął się z izby niepostrzeżony, a choć za nim puszczono się w pogoń, przepadł gdzieś w ciemności nocnej... nazawsze.

Powiadano potem, że w blizkości Poznania wydobyto z rzeki Warty jakiegoś topielca, a tym miał byó Wojtek Pstrąg. Tak to Pan Bóg karze dzieci za rodziców i rodziców za dzieci.

Wiadomość o książkach dla ludu wydawanych.

NAUKA O ŚWIECIE

ułożona przez A. Kiszewskiego, nauczyciela w Paradyżu.

Pod tym tytułem wyszła w Lesznie (w Poznańskiem) książka elementarna dla szkółek parafialnych i doczekała się czwartego już wydania w r. 1858.

Zawiera ona wykład przystępny historyi naturalnej z odpowiedniem objaśnieniem rozmaitych zjawisk w przyrodzie, obejmujący cztery główne działy: 1) człowiek, 2) izba, 3) dom, 4) siedlisko.

Rzecz o siedlisku, czyli miejscu zamieszkania, poprzedzona jest tem pięknem zdaniem zachęcającem do zamiłowania raz obranej siedziby:

Szczęśliwy! kto w ojczystej wiek swój stracił włości!
Dom, co go dzieckiem widział, widzi go w starości;
Długim wieku przeciągiem gdy się w nim zagnieździł,
Na tym wspiera się kiju, na którym był jeździł,
Po tejże samej ziemi, gdzie się czołgał z młodu,
Stawia krok nieleniwy ścieżałego chodu;
I gdy go do włóczęgi chciwość nie przywiodła,
Z tego, gdzie młody czerpał, pije starzec źródła.

Po niem idzie opisanie dawnych i dzisiejszych dworów i chałup, oraz niektórych wspanialszych świątyń i pałaców; dalej o wieżach i dzwonach, a w szczególności o dzwonie kościoła Najświętszej Maryi Panny w Krakowie, z okazyi którego zamieszczonym jest wiersz poniższy:

Z krakowskiej wieży, z Maryi kościoła
Dzwon śpiewa hymny i pobożnych woła,
A lud się tłoczy w sklepienia kościelne,
Ubrany w szaty i stroje niedzielne.
I ja wśród ludzi pobożnych natłoku
Mówiłem pacierz przy matczynym boku,
Prosiłem Boga o cacko dziecinne,
A Bóg przyjmował modlitwy niewinne;
Bo moje serce tak było bez skazy,
Jak wkoło świętych cudowne obrazy,
A moja dusza jakby miała skrzydła,
Biegała sobie wśród dymów kadzidła.
Ztamtąd się myśli ku niebu wznosiły,
Nad dymów kłęby, nad świętych kościoły,
Bo moje myśli tak urocze były,
Jako w ołtarzu złociste anioły.

—

Z krakowskiej wieży, z Maryi kościoła
Dzwon do chmur ciemnych, jak woła, tak woła,
I lud się modli i patrzy ku chmurze,
Aby odegnać pioruny i burze.
Boże! wysłuchaj pobożnych wołanie,
Odwróć tę klęskę na bagna i góry,
Wszakże twa ręka o Wszechmocny Panie!
Prowadzi burze i chmury.
Tak się lud modli, i czarne sklepienie
Pęka i w złotym odpływa obłoku,
A słońca czyste i jasne promienie
W wiosennym błyszczą uroku.

—

Lecz cóż że niebo pogodą jaśnieje?
I cóż że ziemia kwiatami się śmieje?
Dzwon znowu z wieży Maryi kościoła
Jęczy na trwogę, i do broni woła!
Bo wróg, jak chmura, już się czerni zbliska,
Jak burza wznosi tumany dokoła,
Huczy z daleka, piorunami błyska,
I pali miasta i sioła.
Wtenczas na odgłos krakowskiego dzwonu,
Każdy powtarzał, uzbrajając siebie,
Że nie masz innej ucieczki od zgonu,
Jak w krzywej szabli i w niebie!

Dalej następuje krótki rys krakowskiego rynku i sukiennic. Potem raz idzie rzecz o lądzie i morzach, i t. p. Każdy oddział przeplatają rozmaite rady i powiastki moralne do pojęcia ludu zastosowane. Przytaczamy jednę z nich dającą miarę przywiązania do panów i szlachetności uczuć poczciwych kmiotków naszych.

Paweł Koczmara.

Niech nikt nie mówi, że w kmiecym stanie nie ma wyższych uczuć żywego przywiązania; niech nikt nie utrzymuje, że wszyscy włościanie panów swoich nie jako swych przyjaciół uważają, a najlepsze obejście z nimi, wzbudza w nich tylko hardość i niewdzięczność. Inaczej częstokroć się dzieje! Ale już przyjęty został pomiędzy ludźmi ten dziwny obyczaj, iż więcej o złych czynach niźli o cnotliwych mówimy. I dobrze! snadź nie przeważył jeszcze występek na ziemi, kiedy więcej podziwienia sprawia i wrażenia czyni; snadź pospolitsza od niego jest cnota, kiedy mało kogo zastanawia.

W jednej z najmilszych wiosek Lubelskiego, mieszka dziedzic pełen dobroci i rozsądku. On włościan swoich jest razem ojcem i panem; nie psuje ich zbyteczną łagodnością i pobłażaniem, ale utrzymuje ich w przyzwoitej karności, wzbudza w nich szacunek dla siebie i przywiązanie rzetelnym sprawiedliwości wymiarem. Ten dziedzic kilka lat temu mocno zachorował. Przywołany lekarz oświadczył, że choroba jego jest bardzo niebezpieczną i tylko śpieszny ratunek przy wielkich staraniach wyratować go mogą. Pozostał więc już przy łóżku chorego, a uważając pilnie na postęp choroby, stosownie do tego zmieniał lekarstwa, moc ich podwajał, a w najlepszem ich sporządzeniu i najrychlejszem dostarczeniu całą nadzieję uleczenia pokładał. Z Lublina, jako z miejsca gdzie dobre są apteki, umyślono

wszystkie przywozić lekarstwa. A ponieważ Lublin o cztery mile od tej wioski odległy, więc dzień i noc w dwóch karczmach przy drodze czekały stójki, czyli chłopi na koniach. Jeden drugiemu podawał receptę czyli przepis lekarstwa, albo już zrobione lekarstwo; a tak prędzej dochodziły miejsca swego przeznaczenia i ratunek był śpieszniejszy. Właśnie w dniu trzecim choroby, kiedy walczyła dzielnie śmierć z życiem, kiedy sam lekarz wątpił, czy nie ona zwycięży i całą swą sztukę na ostatni jakiś zaradczy środek wychylił; recepta jego dostała się do rąk kmiotka Pawła Koczmary, na którego kolej stójki na ten dzień przypadła.

Paweł Koczmara był jednym z uboższych owej wioski gospodarzy, ojciec sześciorga drobnych dzieci. Całym prawie majątkiem jego był koń, którego nabył źróbakiem. Strzegł go też jak oka w głowie i kochał niemal jak dziecko. Już mu za niego pan sąsiedniej wioski dawał 30 dukatów, ale on chciał równo sześćset złotych, żeby mieć po setku dla każdego z dziatek. Zadziwił się niejeden, gdy Paweł na tym koniu na stójkę wyjechał, ale każdy dobre serce jego pochwalił. On zaś z rąk samej pani receptę odebrawszy z zaleceniem najprędszego sprawienia się, *gdyż życie pana od pośpiechu zależy*, ruszył pędem wiatru. Dojeżdża wnet do karczmy, gdzie pierwsza stójka czekała i patrzy na swego konia.

— Jeszcze wcale nie spieniony, powiada sam sobie, zdrowo mu będzie, niech się do drugiej przegoni.

I popędził nie zatrzymując się wcale. Przyjeżdża na drugą, stawa w karczemnej stajni, przygląda się troskliwie czekającemu koniowi, ale ten nędzny mu się wydaje.

— Coś wasza kobyła, rzecze, mój kumie nie tęgo patrzy, a życie pańskie od pośpiechu zależy.

— Cóż ja temu krzyw, odpowie tamtem, że mam nie tęgiego konia; aleć da Pan Bóg w godzinę to do Lublina zabieży.

— W godzinę? powtórzy Koczmara, ja na moim gniadoszu w godzinę byłbym tu już z powrotem...

— Ej! wysapał się trocha, toż kumie napaście tu dobrze waszą, a ja jeszcze do Lublina ruszę.

I ścisnął gniadosza kolanami i ruszył. Ledwie dobijała godzina, kiedy gospodarz dosypujący sieczki klaczy swojej, usłyszał zdaleka tętent konia.

— To mi zuch! zawołał, już wraca. A odprowadzając klacz od żłobu, usiadł na nią co tchu i wyjechał naprzeciw Koczmary.

— Bogu dzięki, wołał tamten zdaleka, aptekarz duchem zrobił lekarstwo; jedźcież z niem co żywo bracie! Ale coś widzę wasza kobyła utyka.

— A toć prawda, odpowie tamtem; a to jakiego zarwała licha? dodał z gniewem. Tam do kata podkowę zgubiła! czy złe nadało? Ale jest tu kowal wnet temu zaradzi.

— A życie pańskie od pośpiechu zależy! zawoła poczciwy Koczmara, ja tej przewłoki nie ścierpię. Jeszcze mój bokami nie robi, niech rusza. I ruszył.

Niedaleko będąc ostatniej stójki, tak mówi sam w sobie:

— Już jeno półtory mili do domu, a koń każdy ochoczo do swego żłobu powraca. Mnie się tam we dworze spodziewają: tylem już drogi ujechał, a oni o tem i wiedzieć nie będą; ciekawym też przytem okrutnie, jak się tam nasze państwo miewa?.. i nie myśląc więcej, minął stójkę i ruszył raz jeszcze.

Kiedy wreszcie zobaczył zdaleka dwór murowany i wystawił sobie konającego w nim pana, klasnął na konia, już leniwszym idącego krokiem, pogłaskał, przemówił do niego, ścisnął tęgo kolanami, a koń jakby nowego nabrał życia, ruszył znowu z kopyta i w jednej chwili stanął przede dworem. Ale zaledwie stanął, zaledwie zdziwiona jego pani, odebrawszy lekarstwo, pobiegła z radością do pokoju męża, dzielny rumak padł, a okrutnie kilka minut bokami porobiwszy, szyję wyciągnął, oczy zamknął i żyć przestał. Wyrazy żalu i litości nadbiegłych domowników wnet słyszeć się dały. Paweł Koczmara, stał sam w milczeniu nad swoim koniem bez życia; nareszcie zawołał:

— Jużci dobry i sprawiedliwy pan, wart więcej choćby najurodziwsze bydlę. Jeśli się Bogu tak spodobało, i mimo mój pośpiech pan zemrze, to przy onej większej stracie, ta mała mi się wyda. Jeśli zaś Bóg dobry da, że mu te leki życie i zdrowie przywrócą, bierz tam licho i drugiego takiego konia, gdybym go jeno miał!

Z takiem sercem przywiezione lekarstwo, jakże pomódz nie miało?.. pomogło... sprawiło więcej pożądany niźli spodziewany skutek. Wnet życie śmierć zwalczyło i w krótkim czasie dziedzic do sił powracać zaczął. Do łez go rozrzewnił postępek Pawła Koczmary; kazał go przywołać do siebie, dziękował mu jak zbawcy swemu. Chciał mu ofiarować sześćset złotych, ale poczciwy kmiotek podziękował, mówiąc:

— Niech mi wielmożny pan tej krzywdy nie czyni; co z serca wyszło, tego pieniądz nie zapłaci.

Lecz właśnie w Łęcznej jarmark nadchodził; już zupełnie zdrów dziedzic nań pojechał, a z największem staraniem dobrawszy podobnego zupełnie konia, sam go do chaty Koczmary odprowadził. Cieszył się odzyskanym koniem poczciwy Paweł, ale więcej go nadto cieszył widok czerstwej twarzy pana, uśmiech nadobny dziękującej pani i wesołe wkoło ojca rumianych paniątek pląsy.

Pożyteczna ta książka, pomimo że zawiera aż 367 stronnic ścisłego druku, kosztuje tylko dwa złote; widzieliśmy ją w księgarni Gebethnera na Krakowskiem-Przedmieściu. Z prawdziwą ona korzyścią zastosowaną być może do wszelkich szkółek elementarnych rzemieślniczych i wiejskich ochronek; z niej młodociany umysł powziąć może ogólne wyobrażenie o Bogu, o człowieku i świecie, wreszcie o powinnościach i obowiązkach każdego stanu. Wykład wszędzie jasny i przystępny, język poprawny, nauka zdrowa, wyjątki z innych dzieł czerpane, dobierane starannie i odpowiednio do przedmiotu; dlatego niewahamy się zalecić *Nauki o świecie* czytelnikom naszym.

Nasza ziemia.

Juześmy nieraz w Czytelni mówili o ziemi. Wiadomości jednak w części wam już znane, powtórzymy jeszcze dla lepszego wbicia ich w pamięć.

Ziemia służy wszystkiemu za ogólną podstawę, jest polem zapasów naszego życia, dostarcza potrzeb do jego utrzymania i uczynienia go przyjemnem. Na nią więc ciągle patrzymy; dziwnem się wszakże niejednemu pokaże, gdy się dowie, że ziemia jest okrągłą, a przecież tak jest. Ziemia, na której mieszkamy, ma rzeczywiście postać ogromnej kuli, na powierzchni której są morza usiane wyspami i lądy ze swemi dolinami, górami, rzekami i lasami; widzieć zaś tej kulistości nie możemy, bo przestrzenie jej będąc ogromne, tak małą posiadają krzywiznę, iż zwykłym sposobem patrząc, żadnego zagięcia nie jesteśmy w stanie ocenić. Każdy pojmuje, że wypukłości i wklęsłości, jakie przedstawiają nasze łany, nie są wcale łukami ziemi, bo przecież widzimy tu najrozmaitsze bez ładu porozrzucane krzywizny, nie wyrażające żadnej kierunkowej linii. Dla lepszego przeto porozumienia się powiedzmy, że góry ogromnie wysokie, których szczyty kryją się w obłokach, jeszcze nie naruszają okrągłości ziemi, tak jak dziurkowata robótka skorupy jajka, nie psuje jego owalu. Długość linii opasującej naszą ziemie w samym jej środku, zwanej równikiem, wynosi 5400 mil.

Dowodem kulistego kształtu jest nieprzerwane następstwo lądów i mórz, krain i ludów z sobą sąsiadujących; dowodzą tego podróżni, którzy puściwszy się na zachód i dążąc ciągle prosto, wracają odbywszy bardzo długą drogę do rodzinnego kraju i miejsc znajomych, ale ze strony przeciwnej, to jest ze wschodu. Nareszcie że ziemia stojąc w swym biegu między słońcem a księżycem, zakrywa go swym cieniem, co sprowadza jego zaćmienie.

Jeżeli dziwnem się zdało, że ziemia jest okrągłą, to tem bardziej pokaże się szczególnem, że przecież się na niej ludzie i zwierzęta utrzymują, a woda rzek i mórz się nie wylewa. Boć jeżeli jest prawdą, że cała ziemia jest zamieszkałą, to mieszkaniec jednej jej połowy, stałby nogami do mieszkańca drugiej połowy. I rzeczywiście tak jest.

Na każdym punkcie tej kuli ziemskiej, kamień rzucony do góry, jak tylko siła jego rzutu się wyczerpnie, zaraz na ziemię powraca. Taż sama siła, która przyciągnęła rzucony kamień, przyciska morze do jego łożyska i niczemu ruszyć się z miejsca nie dozwala. I nic w przepaści zniknąć nie może, bo wszystko usiłuje przycisnąć się do ogromnego ciężaru ziemi; lecz ciężar ten nie leży na powierzchni

ziemi, ale w jej środku. Jeżeli małą kulkę zawiesicie na nitce i nie poruszając, pozostawicie w spoczynku, to nitka ta dokładnie pokazuje wam kierunek ciężkości, po którym wszystko cięży.

Na dokończenie sprzeczności dodamy, że niebo, które nad nami widzimy, nie jest okrągłem, nie ma bowiem najmniejszej, przynajmniej o ile wiadomo, styczności z okrągłością; owa zaś ogromna półkula, która nas otacza, jest tylko złudzeniem naszego oka, które dalej nie mogąc zasięgnąć, na granicy tej zgromadza wszystko, co tylko widzi w przestrzeni nieba. Tak więc owa wspaniała czasza okalająca nas, usiana tysiącami gwiazd, ozdobiona księżycem lub słońcem, kończąca się za niedaleką wioską lub lasem, jest owym widokręgiem, owem przenośnem niebem, które sobie tworzy oko nasze. Niebo zaś jest przestrzenią bez granic, usianą tysiącami tysięcy ciał podobnych naszemu słońcu, ziemi lub księżycowi, które pospolicie zowiemy gwiazdami.

Powiedzieliśmy, wyżej, że ziemia toczy się w przestrzeni, rozbierzmy więc tę okoliczność. Ziemia zatem odbywa jakieś ruchy, których my nie czujemy. To przyznacie sami, bo zamknięci w pokoiku na jakim statku płynącym, gdybyście niewidzieli żadnego przedmiotu zewnętrznego, prócz oświeconych promieniami lampki lub świecy waszej kajuty, gdyby przytem ruchy statku nie ostrzegały o zmianie kierunku, nie potrafilibyście żadnym sposobem powiedzieć z pewnością, na którem miejscu się znajdujecie, bo nie mielibyście żadnego punktu stałego, po którymby oddalanie lub zbliżanie się poznać można było.

Właśnie tak samo rzecz się ma z ziemią naszą. Ponieważ wszystko, co koło siebie widzimy, z nami się razem obraca i bez najmniejszego wstrząśnienia, nic zatem dziwnego, że ruchu tego dostrzedz nie możemy, chyba gdybyśmy wzrok nasz oparli o jakiś punkt stały, wcale nieruchomy. Punktem tym jest słońce; robi ono względem nas też samą grę, jak drzewa uciekające, gdy w bryczce jedziemy, lub uciekająca ziemia z budowlami i z ludźmi nad brzegiem stojącymi, gdy się czółnem przeprawiamy.

Ale po pewnym czasie słońce znowu powraca, czyli jak to już teraz wiemy, nie słońce, lecz ziemia tak się obróciła, że prawie o tymże samym czasie jak wczoraj zobaczyliśmy słońce; o tymże czasie zobaczymy je jutro, pojutrze, i t. d.—dowód oczywisty, że ziemia się obraca naokoło swej osi, to jest około siebie samej w kierunku od zachodu na wschód. Jeden taki obrót trwa około 24 godzin i stanowi nasz dzień.

Co do tego obrotu, to dawniej długo bardzo bo przez parę tysięcy lat sądzono, że słońce samo się obraca naokoło nieruchomej ziemi. Mylności tego zdania dowiódł ziomek nasz sławny Mikołaj Kopernik, żyjący w XVI wieku. Przez to odkrycie przyczynił wielkę sławę naszemu krajowi, a współrodacy uświęcili wspomnienie znakomitego mędrca, stawiając mu pomnik dobrze wam znany i umieszczając w ręku świat, którego znajomość on sprostował i obronił.

Pomówimy o tem więcej na drugi raz.

Zawiadomienie.

Wyszła z druku książeczka napisana przez znanego w piśmiennictwie naszem pisarza J. K. Gregorowicza, redaktora Magazynu Mód, ozdobiona kilku drzeworytami, p. t. **Modlitwa poranna**, *odmawiana w święta i niedziele przed pójściem do kościoła przez Janka z Bielca i całą wiejską gromadą, wydrukowana na pożytek duchowny, braci wieśniaków*, której skład główny w księgarni A. Nowoleckiego, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście nro 457, wprost kolumny Zygmunta, lecz nabyć ją można i we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych, po cenie kop. 10. Osoby zamieszkałe w Królestwie i Cesarstwie, gdy zażądają w większej liczbie exemplarzy, najmniej 20, za nadesłaniem wprost pod adresem powyższej księgarni przypadającej należności, nadesłane mieć będą franco.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 9 (21) lipca 1861 roku.